

FRANCISZEK REDOSZ

Franciszek Redosz

kl. I

Liceum ogólnokształcące im. Bolesława Prusa w Siedlcach

Jak uczyliśmy się w czasie okupacji

Po klęsce wrześniowej Polska znalazła się pod butem germańskiego najeźdźcy. Przez sześć lat musiała przebywać pod rozkazami wroga. Konsekwentne likwidowanie ognisk kultury tak materialnej, jak i umysłowej po niespełna rocznym panowaniu pozbawiło Polskę wszelkich zdobyczy gospodarczych i kulturalnych. Rozgrabiono drogocenne zabytki historyczne, muzea i biblioteki, a chcąc zniszczyć w narodzie ducha polskości, zniszczyli szkoły średnie i wyższe.

Jednak młodzież nie pozwoliła sobie na marnowanie czasu. Ci, co naukę rozpoczęli przed 1939 r., starali się ją ukończyć, a młodszy, zazdroszcząc im tego szczęścia, też pomyśleli o szkole. Początkowo organizowano tajne kółka młodych uczniów, by wspólnie gdzieś w chatce na skraju lasu (o ile to było na wsi) lub na tzw. rogatekach miejskich przygotować się do egzaminu wstępnego. Ja przez trzy miesiące zbierałem się z kolegami w lesie i tam słuchałem wykładów jednego z panów, który swego nazwiska nie powiedział. Kazał się wołać z imienia, które brzmiało Dymitr. On to wpoił w nasze kółko myśl, że wojna niszczy najbardziej cenny element, a naszym zadaniem jest przygotować się do odbudowy Ojczyzny, w której niepodległość powszechnie wierzone.

Po roku takich kursów pojechałem do miasta Siedlce, odległego od mojej wioski o 30 km, by tutaj uczęszczać na wykłady profesorów. Zwiozłem ze sobą wszystkie przedmioty codziennego użytku. Stancję miałem możliwą. Pokój był obszerny, widny, ciepły, światło było elektryczne. Płaciłem za to mieszkanie 1800 zł miesięcznie, przy czym sto kilogramów żyta w tymże mieście Siedlce kosztowało 800 zł. Ale to już było nieważne. Ważne było to, że koło domu, który stał na boku od ruchliwych ulic miasta, nie snuli się żandarmi niemieccy. Na ich wspomnienie każdy drżał jak przed sądem ostatecznym, toteż niemało było starań, by zgromadzeń wszelkich unikać. Ale wykłady nie mogły być dla poszczególnych osób. Zbierano się więc w grupę ok. dziesięciu osób i na strychu, na facjacie spotykano się z profesorem.

Lekcja trwała ok. półtorej godziny, potem przenoszono się do innego lokalu. Tak codziennie trawiono dwie godziny na spacerach od budynku do budynku, by znów spotkać się z innym profesorem. Przechodzono pojedynczo, bez książek. Do bramy wchodziło się, oglądając się we wszystkich kierunkach, czy ktoś umyślnie nie obserwuje.

Rozmowa profesora z uczniami była cicha. Obsiadłszy stół, słuchali, a następnie wpisywali do zeszytów wzory matematyczne czy fizyczne, bo tablic nie było. Nie było doświadczeń chemicznych, a prawa i wnioski wykuwano na zimno. Ciężka to była nauka tak dla profesora, jak i dla ucznia. Niejedno zdanie trzeba było nie raz, a kilkakrotnie powtórzyć, by je zrozumieć i zapamiętać.

Najczęściej w okresie wiosennym żandarmi urządzali łapanki. Ileż to ostrożności zachowywano, by nie wpaść w ich ręce. Ja sam trzykrotnie siedziałem w *Arbeitsamcie*, będąc w trzeciej klasie gimnazjum. Zostałem stamtąd wypuszczony za pieniądze. Od czasu do czasu dało się słyszeć o śmierci ucznia z ręki Niemca. Początkowo każdy lękał się, czy też nie wydał całych kompletów. Wyobrażano sobie, że wówczas profesorowie znaleźliby się w obozie koncentracyjnym, a uczniowie na robotach w Niemczech. Po upływie jakiegoś czasu lęk ustąpił miejsca zapałowi. Młodzież rwała się do nauki, by przez to przynajmniej dokuczyć wrogowi.

Prócz lekcji odbywały się także, pod kierownictwem oficerów, tajne kursa podoficerskie i oficerskie. Po skończeniu lekcji przychodził na pozór do robotnika fabrycznego podobny pan, by pokazać chłopcom, jak się pistolet rozbiera, jak się meldunki składa czy też przeczytał „bibułę”. Pamiętam, jak pilnie czytałem te „bibuły”, dowiadywałem się wówczas niesfałszowanych wiadomości, szukając na mapie punktów, które były atakowane, utracone czy zdobyte. Była to po prostu lekcja geografii.

Nie mało trudów nastroczało przechowanie map, gazetek, instrukcji itp., jednak młodzież robiła wszystko, co mogło przynieść szkodę wrogowi. Każdego poranka uczniowie, zebrawszy się, opowiadali sobie o wyczynach partyzantów lub o położeniu Niemiec, które z każdą chwilą chyliły się ku upadkowi. Opowiadano sobie przeróżne anegdotki ośmieszające postępowanie Niemców. W ten sposób starano ukrócić sobie smutny okres niewoli hitlerowskiej.

Jednym słowem czas trwania tajnych kompletów był przykry i smutny. Uczniowie nie korzystali z doświadczeń praktycznych, jakimi posługiwano się przed wojną. Łapanki, aresztowania przyprawiały o stratę czasu – całych tygodni czy miesięcy. Ileż to lekcji zmarnowanych na

wszelkiego rodzaju przechadzki przez najbardziej ciche ulice miasta. Ile nocy niedospanych przez ustawiczne czuwanie w oknie, czy nie zjawi się grupa żandarmów i nie zaaresztuje kogoś.

Jednak tajne nauczanie odegrało wielką rolę. Mimo ciężkich warunków wypuściło na świat cały szereg ludzi z ukończoną szkołą średnią. Ilość ich była mniejsza niż przed 1939 r., ale ciągłość nauczania nie została przerwana. O ile łatwiej było skompletować szkołę w 1944 r., mając podręczniki (choć tych było niewiele) oraz niektóre przyrządy szkolne, gdzieś na strychach przechowane. Wiele kłopotów sprawiały warunki lokalowe, ale niepomrotnie więcej byłoby trudności, gdyby rozpoczynano naukę przerwana przed sześciu laty.